

Kulewski, Stanisław

Ze wspomnień pruszkowiaka z czasów okupacji niemieckiej 1939-1945

Przegląd Pruszkowski nr 1, 35-44

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ze wspomnień pruszkowiaka z czasów okupacji niemieckiej 1939-1945

Dzień jak codzień

Urodziłem się w Pruszkowie w 1926 roku. W chwili wybuchu wojny mieszkaliśmy od kilku lat przy ulicy Narodowej 11 m.2. Miałem wówczas 13 lat i ukończyłem właśnie Szkołę Podstawową im. Marii Curie-Skłodowskiej w Pruszkowie,



Spotkania towarzyskie w plenerze.

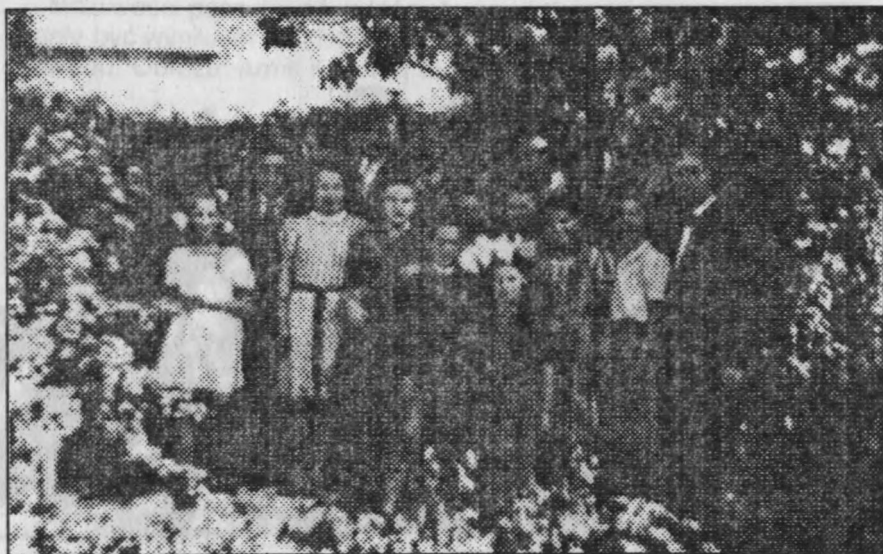
Od lewej : Bogusław Kulewski (w okularach), Krystyna Kulewska, Stanisław Kulewski (autor

Kłęska wrześnieowa zmieniła dotychczasowy bieg życia wielu członków naszej rodziny, podobnie jak większości rodzin polskich. Ojciec mój - Bogusław - pracownik Dyrekcji PKP w Warszawie, natychmiast po wkroczeniu Niemców zaangażował się w walkę Polskiego Podziemia. Przedtem, w czasie I wojny światowej, ojciec mój już jako szesnastoletni chłopak wstąpił do Legionów. Walczył w szeregach II Korpusu, uczestnicząc w zdobywaniu Kijowa. W czasie okupacji niemieckiej ojciec był członkiem ZWZ, a następnie Armii Krajowej. Żołnierzami Armii Krajowej byli także inni

moi krewni, między innymi doktor Tadeusz Włodarczyk podporucznik AK, lekarz II Batalionu i jego młodszy brat - podchorąży Jan Włodarczyk, poległy w Pruszkowie w pierwszym dniu Powstania Warszawskiego.

Ja sam również nie chciałem pozostawać na uboczu wydarzeń i z chwilą ukończenia szesnastu lat, w kwietniu 1942 roku, złożyłem przysięgę, wstępując do Armii Krajowej, IV Rejon, V Kompania, Pluton 1729.

Tematem przedstawionych tu moich wspomnień nie jest jednak wielkie kompendium wiedzy o szeregach AK, co uczynili już inni, ale opis dnia codziennego młodzieży Pruszkowa w moim, lub zbliżonym do mojego wieku. Los wszystkich niemal reprezentantów tego pokolenia był podobny, dlatego opisując swoje przeżycia, utożsamiam się z większością moich kolegów i koleżanek.



Szkoła Muzyczna w Pruszkowie.

Od prawej; prof. Zalewski, Hanka Sierawska, Hanka Gawdzik, Tadeusz Siennicki (stoi w głębi), W. Ostrzycki, Hanka Abramowicz, stoi za nią J. Sierawski, Ala Wastkowska (w jasnej sukience), Stanisław Kulewski

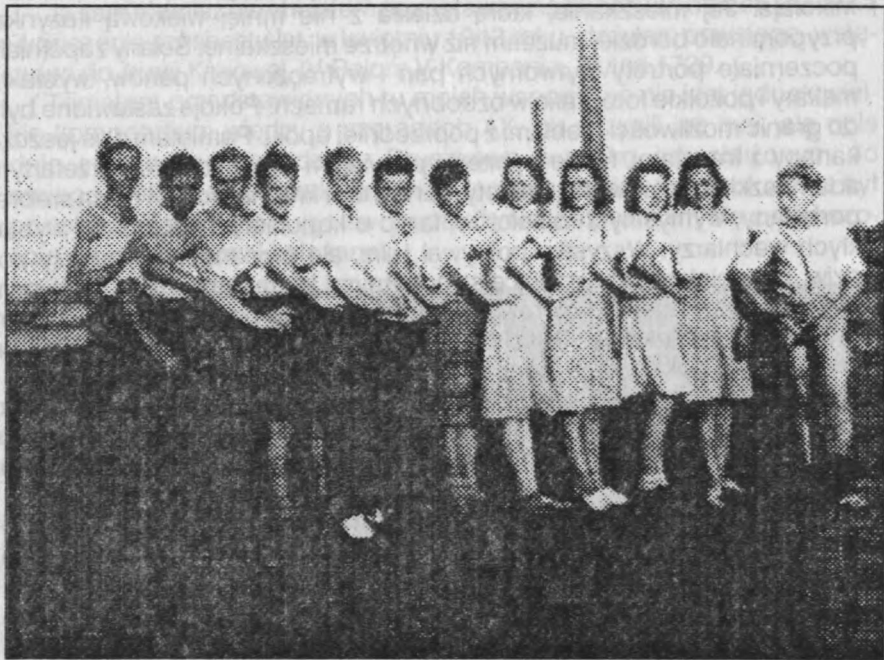
Z chwilą zakończenia działań wojennych w 1939 roku, zacząłem przebrać pierwszą klasę gimnazjalną (przed wybuchem wojny zdałem egzamin wstępny do Gimnazjum im. T. Zana w Pruszkowie). Moim nauczycielem był pan Franciszek Jezierski, który przerabiał ze mną wszystkie przedmioty będące w programie. Pan Jezierski, maturzysta gimnazjum im. Zana z lat trzydziestych, odnajmował pokój sublokatorski w lokalu przy ulicy Klono-

wej (obecnie Daszyńskiego). Właścicielką mieszkania była pani Sawicz, dama w starszym wieku, lecz wciąż zgrabna, prosto się trzymająca i ze śladami wielkiej urody. Pani ta - o ile pamiętam - była wdową po wysokiej rangi oficerze białogwardziście lub po wysokim urzędniku w służbie cara Mikołaja. Jej mieszkanie, które dzieliła z nie mniej wiekową kuzynką, przypominało bardziej muzeum niż wnętrze mieszkalne. Ściany wypełniały poczerńiałe portrety wytwornych pań i wyfraczonych panów, wyblakłe makaty i pożółkłe fotografie w ozdobnych ramach. Pokoje zastawione były do granic możliwości meblami z poprzedniej epoki. Pamiętam dziś jeszcze kanapy z frędzlami, fotele wybite wypłowiałym aksamitem lub przetartym adamaszkiem, parawany, gabloty, serwantki i kruche stoliki. I masa srebra, porcelany, wymyślnych bibelotów, lamp o kopulastych kloszach i wyblakłych wachlarzy. Wszystko pokrywał kurz, ale przedmioty te budziły podziw, były piękne, wzruszające szlachetnymi kształtami i melancholijnym urokiem poszarzałych kolorów. Sposób bycia obu pań był równie wytworny, jak ich mieszkanie. Gościom pana Jezierskiego, z którymi czuła się dość żyta, pokazywała pani Sawicz fotografię nieżyjącego już syna - Płatona. Zdjęcie przedstawiało pięknego oficera w mundurze carskiego gwardzisty. Atmosfera tego domu trochę onieśmiałała, bo było w niej coś tajemniczego i intrygującego zarazem tak dalece, że do dziś zachowałem go w pamięci.

W roku szkolnym 1940/41 zacząłem naukę w Gimnazjum Mechanicznym im. M. Konarskiego w Warszawie, na Wydziale Mechanicznym. Jednocześnie kontynuowałem naukę na tajnych kompletach, przerabiając przedmioty, które były zakazane w oficjalnie działających szkołach, a więc historię, literaturę polską i światową, geografii i łacinę.

Po dwóch latach ukończyłem szkołę im. Konarskiego, zdobywając dyplom czeladniczy tokarza. W roku szkolnym 1943/44 uczęszczałem na jednoroczny kurs przygotowawczy do Szkoły Inżynierskiej Wawelberga, mieszczący się w gmachu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, przy zbiegu ulic Koszykowej i Lwowskiej. Nauka i zajęcia w warsztatach pochłaniały dużo czasu, ponadto dochodziły dojazdy kolejką EKD z Pruszkowa do Warszawy. Jednakże dojazdy te stanowiły swoistą namiastkę życia towarzyskiego, bardzo ograniczonego ze zrozumiałych powodów w warunkach okupacyjnych. W zatłoczonych wagonach kolejki spotykała się młodzież jadąca do szkół, ludzie spieszący do pracy, żołnierze i łączniczki AK - przewożący broń, rozkazy czy prasę podziemną - tak zwane "gazetki". Całe to zbiorowisko uzupełniał tłum handlarzy. Czas podróży umilały występy różnych domorosłych "artystów". Byli wśród nich zarówno soliści, jak zespoły, uprawiali wokalizę a capella lub przy akompaniamencie gitary, mandoliny czy akordeonu. Występowali też muzykanci solowi lub w

zespołach. Wszyscy "kolejkowi" muzycy mieli zawsze w repertuarze jakieś pieśni lub melodie patriotyczne, ballady na temat wojennej rzeczywistości, a nierzadko także kuplety zawierające gryzącą satyrę wymierzoną w "szkół", czyli "tymczasowych".



Spotkanie na gliniankach żbikowskich:

od lewej - Jurek Karkut, Kajetan Zalewski, Jurek Jabłoński, Zygmunt Bargieł, Jurek Dunkiewicz, Stanisław Kulewski, Janusz Sierawski, Jadwiga Kulewska, Halina Tabuszevska, Alicja Wastkowska, Hanna Sierawska,

Zdarzało się też, że do kolejki wpadali pasażerowie całkiem innego autoramentu: żandarmi. Węszyli, penetrując wagony, zaglądali do teczek, walizek, tobołków, przeszukiwali paczki na półkach, zaglądali pod ławki. Szukali przede wszystkim broni i nielegalnej prasy, zabierali handlarzom żywność.

Poza nauką w oficjalnych szkołach i na tajnych kompletach, uczyłem się także muzyki w konspiracyjnej szkole muzycznej w Pruszkowie, prowadzonej przez profesora Zalewskiego. Lekcje odbywały się w domu profesora przy ulicy Hortensji. Uczęszczałem do dwóch jednocześnie klas: fortepianu i gitary. Uczniowie tej szkoły, po osiągnięciu odpowiedniego poziomu, grali na tak zwanych "Porankach Muzycznych" organizowanych

dla ich rodzin i osób zaprzyjaźnionych, były to bowiem imprezy - jak zresztą wszystkie w tych czasach - surowo przez Niemców zabronione. Pierwszy taki "Poranek" odbył się 9 stycznia 1944 roku i zawierał w swym programie występy dziesięciu uczniów młodszej grupy i tyluż wykonawców z grupy starszej. Koncerty takie odbywały się w mieszkaniach prywatnych i mimo wszelkich niedogodności wynikających z tego tytułu, stanowiły pożądaną rozrywkę, chwilę wytchnienia i satysfakcji, jakie daje kontakt ze sztuką. Wtajemniczeni chętnie przychodzili na zaimprovizowane popisy, chociaż łączyło się to z pewnym ryzykiem zarówno dla publiczności, jak wykonawców.

Chwile wytchnienia, zapomnienia o codzienności, były także potrzebne dla wszystkich. Warunki życia w czasie okupacji były bardzo ciężkie. Trudno było utrzymać rodzinę z jednej pensji ojca. Dlatego moja matka jak i ja sam, staraliśmy się w miarę naszych możliwości podreperować budżet rodzinny. W praktyce polegało to na przywożeniu tańszej żywności ze wsi. Część produktów pozostawała na potrzeby domu, część sprzedawaliśmy. Handlowałem też pieczywem i papierosami. Czasem robiło się też po żniwach wyprawy na pola podmiejskich gospodarzy, żeby zbierać kłosa pozostawione na ściernisku, albo wybierać z bruzd pozostawione po wykopkach ziemniaki. W ten sposób nasza rodzina, składająca się z dwojga rodziców i trojga dzieci, mogła jako tako egzystować. Bywały jednak dni, kiedy na obiad gotowało się obierki z ziemniaków. Do przysmaków należała tak zwana "prażucha", potrawa w postaci gęstej masy z mąki, ziemniaków i kapusty, okraszona słoniną.

Brak witamin i dostatecznej ilości kalorii w naszym jedzeniu wpływały fatalnie na nasz rozwój fizyczny, utrudniając naukę i sprawiając, że obfite jedzenie, ucztowanie do syta, marzenia o pełnym żołądku obsesyjnie absorbowało nasze myśli.

Nie mniejszą zmurą z zakresu prowadzenia gospodarstwa domowego w czasie okupacji był brak opału, który w tamtejszych czasach służył nie tylko do ogrzewania mieszkań, lecz także do gotowania posiłków. Zimy okupacyjne były szczególnie mroźne i trwały długo. Stąd w Pruszkowie ulegały rozbiórce niemal wszystkie drewniane parkany, wycięto szereg drzew, urządzano wyprawy do lasu po chrust.

Najbardziej ryzykownym sposobem zdobywania opału - tego najcenniejszego: węgla - było chodzenie na tak zwaną "kitę". Polegało to na wskakiwaniu w biegu na wagony towarowe wiozące węgiel i zrzucaniu na ziemię jak największej ilości czarnych brył. Groziło to, rzecz jasna, tak przy wskakiwaniu, jak przy zeskakiwaniu z wagonu dostaniem się pod koła pociągu, ponadto strzegący transportu "Bahnschutze" strzelali do kiciarzy. Wielu więc przypłaciło życiem lub kalectwem swój proceder.

Pomimo ciężkich warunków życia, utrudnionej nauki, egzystencji w stałym zagrożeniu - znajdowaliśmy czas na rozrywki i sport, chociaż i ten ostatni był zabroniony przez okupantów. Ale nie dawaliśmy za wygraną. Chodziliśmy często latem na glinianki żbikowskie lub pruszkowskie, gdzie uczyliśmy się pływać, skakać do wody, albo uprawiać biegi i skoki w dal lub wzwyz, żeby choć trochę podreperować naszą sprawność fizyczną.

Od czasu do czasu organizowaliśmy też małe potańcówki w mieszkaniach kogoś z kolegów lub koleżanek, przy muzyce z płyt gramofonowych.

Powszechnie panującą "modą" okupacyjną był zwyczaj wpisywania się do pamiętników, dawniej nazywanych "sztambuchami". Ten stary zresztą zwyczaj był nagminnie uprawiany przez młodzież także przed wojną, ale podczas okupacji treść wierszyków w pamiętnikach miała z reguły wymowę patriotyczną. Dostałem w prezencie imieninowym od mojej młodszej siostry taki właśnie pamiętnik, do którego ofiarodawczyni wpisała się, jak następuje:

*Tylko pod Krzyżem,
Pod tym wielkim znakiem,
Polka jest Polką
A Polak Polakiem.*

Jedna z koleżanek uderzyła w ton nie mniej patriotyczny:

*Kochaj Boga duszą całą,
Kochaj naród cały
I tę ziemię naszą miłą,
Której godłem Orzeł Biały.*

Także mój kuzyn, Janek Włodarczyk, wpisał mi piękny cytat z Cicerona, mówiący o miłości ojczyzny, która to miłość jednoczy w sobie wszelkie inne życiowe miłości.

Tylko kuzyn Tadeusz Włodarczyk uderzył w inny ton:

*Jesteś wielkim człowiekiem? Bądź nim, jak należy.
Lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej odzieży.
A wtedy, kiedy wchodzisz w towarzystwo ludzi,
Nie bierz ze sobą gromu, który postrach budzi.
Nie przynoś orlich spojrzeń, tytanicznych postaw,
Lecz wielkość z kaloszami w przedpokoju zostaw.*

Jak zaznaczyłem na wstępie, rozkład dnia i model życia młodzieży Pruszkowa był mniej lub bardziej podobny do tego, jaki sam prowadziłem.

Zastanawiające jest, że pomimo tylu zajęć, niebezpieczeństwa, jakie zagrażało stale ze strony Niemców, z czym spotykaliśmy się na codzień, a także braku środków do godziwej egzystencji - pokolenie moje wyszło obronną ręką ze wszystkich tych opresji. Oczywiście, dotyczy to tylko tych, którzy ocalili życie. Dzisiaj, po wielu latach, mogę stwierdzić z pełną satysfakcją, że trudności okupacyjne w większości przypadków nie zdemoralizowały młodzieży. Braliśmy udział w zabronionej pracy konspiracyjnej w Armii Krajowej i w Szarych Szeregach. Po wojnie większość młodzieży z mojego środowiska zdobyła wyższe wykształcenie i stała się wartościową częścią naszego społeczeństwa.

Niestety, okres powojenny, okupacja sowiecka od stycznia 1945 roku i szykany jej wasali spowodowały dalsze trudności w życiu ludzi z naszych roczników. Liczne represje i prześladowania w stosunku do żołnierzy AK i Szarych Szeregów ciężko zaważyły na ich losach, ale to już odrębny rozdział w życiu młodzieży Pruszkowa.

Okopy

We wrześniu 1944 roku, kiedy trwało jeszcze Powstanie Warszawskie, ukazało się zarządzenie władz niemieckich, zobowiązujące mężczyzn od lat szesnastu do przymusowej pracy przy budowie fortyfikacji, to jest rowów strzeleckich i dołów przeciwczołgowych. Dotyczyło to ludności zamieszkałej na terenie Pruszkowa i jego okolic. Za niestawienie się do prac fortyfikacyjnych groziły poważne represje w postaci wysłania do obozu koncentracyjnego.

Skutków wyłamania się z tego przymusu doświadczyłem na własnej skórze. Było to w dniu, kiedy dom, gdzie wraz z innymi współlokatorami zamieszkiwali moi rodzice, upodobała sobie żandarmeria niemiecka. Kazali zatem wynosić się wszystkim w ciągu krótkiego czasu. Można sobie wyobrazić rozpaczliwą wręcz sytuację, w jakiej znaleźliśmy się niespodziewanie. Trzeba było możliwie jak najszybciej spakować cały dobytek, stanąłem więc do pomocy rodzicom i siostrze. Kiedy ładowałem na wóz tobołki, przechodził patrol żandarmerii. Nie pomogły tłumaczenia, że właśnie ich koledzy wyrzucają nas z domu, bezskutecznie błagała żandarmów zrozpaczona moja matka, zabrali mnie ze sobą i zamknęli w obozie przejściowym na terenie warsztatów kolejowych, słynnym Dulagu 121.

Przyznaję, że miałem duszę na ramieniu, bo los mój mógł się skończyć bardzo nieciekawie. I tu nastąpił prawie cud. Kiedy szedłem z prowadzącym mnie żandarmem przez teren obozu, spotkałem niespodziewanie przyjaciółkę mojej mamy, panią Marię Orłowską, pracującą na terenie

Dulagu jako sanitariuszka. Poznała mnie i w mig zorientowała się w sytuacji. Znała świetnie język niemiecki, była przy tym bardzo dowcipna, błyskotliwa a przy tym ładna. Nie wiem, jakich użyła argumentów wobec mojego prześladowcy, dość, że zaprowadził mnie do hali nr 5, gdzie przebywali ciężko ranni. Znalastwszy się tam, zrozumiałem, że pani Maria uratowała mi co najmniej zdrowie, jeśli nie życie, a już na pewno oszczędziła mi dłuższej rozłąki z rodziną.

We wspomnianej hali nr 5 przenocowałem wśród rannych, chorych, cierpiących nieszczęśników przywiezionych tu z walczącej Warszawy. Rano wszystkich nas miano wywieźć do szpitala w Milanówku. Wiadomo było, że transport wyjeżdżający z terenu obozu bada warta niemiecka pilnująca bramy. Trzeba było więc upozorować fatalny stan mojego zdrowia. Obadanożowano mi zatem wszystko, co się dało, głównie głowę i rękę. Ponadto kazano mi napompować opony ogumionego wozu, jednego z tych, które miały wywieźć za bramę mieszkańców hali nr 5. Praca była ciężka, a bandaże ciasne, toteż niebawem pot zalał mi oczy i stałem się czerwony jak burak. Uznano to za wystarczający kamuflaż i za chwilę siedziałem na furmance wraz z autentycznie rannymi. Niemcy w bramie ocenili mnie widocznie za dostatecznie poszkodowanego, bo nie zaprotestowali i za chwilę znalazłem się poza terenem Dulagu. Poczekałem, aż furmanka oddali się od obozu tak, aby nikt z wartowników niemieckich nie mógł mnie dojrzeć i dałem dyla ku zdumieniu nie wtajemniczonych współpasażerów oraz przechodniów, otwierających szeroko oczy na niezwykłą sprawność ciężko "rannego".

Od tej przygody chodziłem już regularnie na "okopy" wraz z setkami mieszkańców Pruszkowa i okolic. Sądzę, że gdyby nie wybuch Powstania, Niemcy zorganizowaliby na terenie całej Generalnej Guberni gigantyczny obóz, zmuszając ludzi do wykonywania prac fortyfikacyjnych, w myśl zarządzenia, jakie wydali już pod koniec lipca 1944 roku.

Sama akcja "okopy", choć uczestniczyło w niej, jak już wspomniałem, wielu mieszkańców z okolic Warszawy, nie doczekała się jednak zbyt wielu kronikarzy. Pragnę zatem podzielić się moimi wrażeniami z tego okresu.

Zbiórki uczestników prac fortyfikacyjnych odbywały się zazwyczaj na jednym z placów w Pruszkowie. Stamtąd dowożono nas na miejsce pracy samochodem lub pociągiem podmiejskim PKP do stacji Warszawa Zachodnia. Z dworca tego czasem przewoził nas samochód, czasami szliśmy pieszo.

Z tych naszych wypraw utkwiło mi w pamięci kilka epizodów. Przywieziono nas kiedyś nad Wisłę, na Siekierki. Mieliśmy tu kopać rowy strzeleckie wzdłuż królowej polskich rzek, na pierwszej linii frontu. Widać stąd było jak na dłoni żołnierzy sowieckich i polskich wojaków z I Armii Wojska Polskiego

kręcących się na przeciwległym, prawym brzegu Wisły. Wokół nas, na lewym brzegu, zajęte stanowiska doborowe oddziały SS w ochronnych mundurach koloru khaki. Nosili oni hełmy przykryte maskującymi siatkami, podobnie były osłonięte ich stanowiska. Esesmani, zalegający w zagłębieniach terenu, byli względnie bezpieczni, my natomiast, kopiący rowy, wystawieni byliśmy na pociski padające na nas z brzegu praskiego z dział artylerii sowieckiej. Było więc niebezpiecznie. Kilku "okopowiczów" zostało zabitych, wielu rannych.

W drodze powrotnej do Pruszkowa prowadziliśmy spontanicznie podjętą akcję ratowania warszawiaków, zwłaszcza powstańców wychodzących ze stolicy. Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu kolumny ludności pędzonej z Warszawy, staraliśmy się podawać, komu się dało i kto jako tako wyglądem mógł przypominać "okopowicza", do ręki kilof czy szpadel i taki gość wchodził między nas, że niby wraca z okopów. I najczęściej udawało się, żandarmi uznawali łopatę czy kilof za wystarczającą przepustkę.

Niebezpieczeństwo dla pracujących przy rowach fortyfikacyjnych stanowił nie tylko brzeg Wisły. Kiedyś Niemcy zawieźli nas do pracy na lotnisko Okęcie. Pogoda była wyjątkowo piękna, niebo czyste, widzialność idealna. Kazano nam kopać rowy na płycie lotniska, gdzie grunt był niezwykle twardy, więc robota posuwała się wolno. Wykopaliśmy zaledwie może dwadzieścia centymetrów, kiedy usłyszeliśmy ogłuszający huk silników samolotowych. Były to amerykańskie "latające fortece", potężne, ogromne, powietrze zdawało się falować od ich pędu. Były tuż nad naszymi głowami.

Nie ulegało wątpliwości, że jeśli zaczną bombardować lotnisko, z nami będzie koniec, nikt nie ujdzie z życiem, bo jak? Niebawem jednak okazało się, że nie w tym celu zjawily się nad Warszawą, bowiem z ich potężnych kadłubów zaczęły spływać ku ziemi kolorowe spadochrony z doczepionymi pojemnikami. Domyśliliśmy się, że to broń i amunicja dla walczącej Warszawy. Ale nie tylko! Na niektórych spadochronach zawieszeni byli ludzie! Ogarnął nas popłoch. Co oni wyprawiają? Lecą na pewną śmierć! Dopiero po chwili ujawniła się prawda. Kiedy rzekomi skoczkiwie byli już dość blisko ziemi, zobaczyliśmy, że pociski niemieckie godzące w nich ze wszystkich stron, wydobywają z nich strumienie trocin. Dopiero wtedy dotarło do nas, że dla zmylenia ochrony lotniska zrzucono na spadochronach kukły. Odetchnęliśmy, bo w razie bombardowania nasz los byłby przesądzony. Widok był jednak wspaniały: różnokolorowe spadochrony, na tle błękitnego nieba i ogromne, majestatyczne latające fortece - był to obraz jak na rewii lotniczej. Szkoda tylko, że większość zasobników z bronią i amunicją, jakie wyrzucano, dostała się w ręce Niemców, a nie do powstańców, którzy tak rozpaczliwie wyglądali pomocy aliantów.

Innym razem zawieźli nas samochodami na kilkudniową akcję do wsi Zaborówek w Puszczy Kampinoskiej. Kopaliśmy tam rowy strzeleckie i przeciwczołgowe.

Zakwaterowano nas we wsi, u gospodarzy. Zarówno my jak i miejscowi zdawaliśmy sobie sprawę z grożącego w każdej chwili niebezpieczeństwa. W lesie huczało od wystrzałów, w nocy widać było dokoła tony pożarów. We wsi, oprócz nas, stacjonowali przez jakiś czas żołnierze z formacji RONA. Byli to Ukraińcy współdziałający z Wermahtem. W czasie naszego pobytu przenieśli się oni gdzieś dalej, ale jeden z nich, odchodząc, ukradł mojemu gospodarzowi konia. Chłop był zrozpaczony, bo wiadomo, czym jest brak konia w gospodarstwie, w dodatku w chwili tak niepewnej, kiedy można było spodziewać się konieczności opuszczenia domostwa.

Trzeba trafić, że w krótkim czasie po odejściu Ukraińców, we wsi zjawili się patrol żandarmerii niemieckiej Feldgendarmerie. Korzystając ze swojej znajomości niemieckiego, opowiedziałem żandarmowi o krzywdzie, jaka spotkała mojego gospodarza. Ku mojemu zdziwieniu żandarm pojechał tropem owej ukraińskiej formacji i za jakiś czas konia przyprowadził z powrotem. Wyjaśnił też zdumionemu i ucieszonemu gospodarzowi, że złodziejzszka rozstrzelano.

W tym drobnym incydencie kryje się cały paradoks mentalności niemieckiej: w innych okolicznościach ten sam żandarm nie wahałby się rozstrzelać wszystkich mieszkańców wioski i puścić z dymem wszystkie zabudowania, tym razem miał możliwość zademonstrować słynny niemiecki "Ordnung".

Praca na okopach trwała niemal do chwili wejścia do Pruszkowa i okolic wojsk sowieckich. Zaczął się drugi, ponury etap naszego życia pod nowym okupantem, ale to już materiał na inne wspomnienia.